



Na dożynkach



Cale żniwa przodowali,
Wszystkich ludzi pociągali.

Wdzięczność

Józia i Stefcia, dwie małe dziewczynki, chodziły do miejskiej szkółki i, choć siedziały przy sobie, były jednak bardzo niepodobne.

Jadzia zawsze była porządnie ubrana, miała książkę i kajety dobrze oprawne i ładny tornister do książek. — Stefcia zaś chodziła w starej sukience, której rękawy były łatane, książek prawie nie posiadała, a kajet tylko jeden i to z bardzo taniego szarego papieru zrobiony. Była ona bardzo ubogą dziewczynką, córką szewca, któremu trudno było zarabiać na całą rodzinę.

Stefcia uprosiła rodziców, żeby ją oddali do szkoły.

Wróciwszy jednak z lekcyj, musiały krzątać się przy domu: sprzątać, dzieci pilnować.

Jadzia była trochę zamożniejsza. Rodzice jej mieli sklepik w miasteczku i bardzo dogadzali swej jedynaczce.

— Co ty masz na śniadanie? — pyta raz Jadzia Stefci.

— Chleb — odpowiada cicho Stefcia.

— Jak to? chleb sam bez masła? Jakże to możesz jadać? — Ja zaś mam smaczną buleczkę z masłem i serem.

I obie dziewczynki zabrały się do swego śniadania. Żal przejął Jadzię, gdy patrzyła na towarzyszkę, wzięła połowę swojej buleczki i dała Stefci.

— Moja Stefciu, weź ode mnie ten kawalek, spróbuj jak to smakuje.

Stefcia z początku nie chciała, ale w końcu uległa usilnym prośbom Jadzi. Nazajutrz powtórzyło się to samo, Jadzia połowę swego śniadania oddawała codziennie koleżance, a chociaż sama często czuła nieco głodu, wolała jednak trochę cierpieć, byle podzielić się z towarzyszką.

W czasie śniadania opowiadały sobie dziewczynki o domu, o rodzicach. Wtedy dopiero poznała Jadzia, jak biedną jest jej towarzyszką.

— To ty nigdy nie miałaś ani zabawek, ani pieniędzy? — pytała Jadzia.

— O nie, skądżebym je miała! Przecie zarabiać nie umiem, a tatuś mój ma bardzo mało pieniędzy nawet na książki mię nie stać.

Jadzia chwilę się namysliła.

— Wiesz, a ja to miewam czasem swoje pieniądze. Wujek mi daje na ciastka, ciocia na obrazki. Mama pozwala mi robić z nimi co zechcę.

Od tego czasu Jadzia wciąż myślała o

Stefci, myślała jak jej dopomóc. Wróciwszy do domu, policzyła swoje drobne pieniądze i przekonała się że może kupić dla Stefci książkę i ładną obsadkę.

Tak też uczyniła.

A że przyszła wcześniej od Stefci, więc obie rzeczy położyła jej na stole.

Jakież było zdziwienie i jakaż radość biednej dziewczynki, gdy ujrzała taki podarek. Domyśliła się zaraz od kogo pochodzi i serdecznie uściaskała swą towarzyszkę.

Odtąd Jadzia o tym jedynie myślała, jakby się odwdziżyć. Jeżeli dostawała co od kogo, dzieliła się z nią zawsze. Czasem bardzo głodna wracała do domu, bo większą część swego śniadania oddała Stefci, ale tak jej jakoś wesoło na duszy było, choć sama nie wiedziała czemu.

Czas na nauce schodził im prędko. Na stała Wielkanoc. Dzieci miały dużo wolnego czasu. Każdy obiecywał sobie zabawić się w tym czasie.

Jadzia krzątała się w swym pokoiku, gdy wtem wchodził Stefcia i przynosi doniczkę fiołków.

— Moja Jadziu — powiada dziewczynka, — ja też chciałam ci coś podarować, ale nic nie mam odpowiedniego; poszłam do lasu, pod krzakami zobaczyłam ten ładny fiołek i wykopałam go dla ciebie.

Dziewczynki ucałowały się serdecznie.

Jadzia porwała doniczkę i pobiegła pokazać ją mamie.

— Wiem — rzekła mama — dowiedziałam się od Stefci za co dostałaś kwiatek, a teraz postaw go na swoim okienku i podlewaj. Niech on ci przypomina tę biedną Stefcię, której masz i nadal dopomagać.

Aleksander Anik-Nikończuk

DEFILADA

„Tara! — Rara!”

Już trąbka gra —

Zajęcia wszystkie rzuć!

Za broń! ...

Na koń! ...

Marsz! — W pole! — Coń!!!

A cugle mocno skruć! ...

I pędzi w mig

Za szykiem szyk,

Proporców szumi toń...

A trąbka gra;

„Tara — rara”

Choć zuchów cała błoń.

Zosia w Marsylii

Zosia ma dopiero dziesięć lat. Do Marsylii przyjechała trzy miesiące temu. Tatuś jej dawniej pracował pod Tulużą i Zosia tam się urodziła, tam wychowała. Tatuś pracę stracił, myślał, że w Marsylii coś dostanie, ale tu nie ma nic, więc mają teraz jechać do Polski. Zosia bardzo, bardzo się cieszy, bo chociaż Polski nigdy nie widziała, ale mamusia opowiadała jej tyle, tyle ślicznych rzeczy o swojej wiosce, gdzie mieszka dziadzius i babcia Zosi. Zosia wie, że mają pole swoje własne, że tam żytko srebrzyste i złota pszeniczka rośnie, a w zbożu i chabry i maki i ostróżki i kąkole. A za polem jest łąka, wiosną pełna kaczeńców złociutkich, różowych smółek, kukułczego ziela, niezabudek i kłoby tam zliczył ile i jakich jeszcze kwiatów. A przez łąki rzeczka płynie, gdzie chłopcy rybki i raki łowią, a za Zosią las wielki, stary, szumiący, dobry las, bo od św. Jana, aż do późnej jesieni ciągle coś daje. To poziomki, to czarne jagody, to borówki, to maliny, to jeżyny, a grzybków bez liku. Toteż Zosia bardzo się cieszy i zrozumieć nie może, dlaczego tatuś chciał w Marsylii zostać. Bo jej tu straszno. Nie dlatego, że Marsylia taka duża, nie. Sama z domu nigdzie nie wychodzi, tylko z mamusią. Mieszkają koło starego portu, a tam pełno czarnych się kręci. Są i żołnierze czarni, a są i tacy w białych płaszczach co, mają głowy zabawnie szalami pookręcane. Jak koło nich przechodzi, to ze strachu oczy przymyka. A mamusia nic, a nic się nie boi, taka odważna. I Zosia też chciałaby się nie bać, ale co zrobić, kiedy nie może. Jak raz taki czarny chciał ją po złotej główce pogłaskać, to wrzasku narobiła takiego, że aż policjant przyszedł, a wszystkie koleżanki śmiały się z niej. Bo Zosia ma dużo koleżanek, same Francuzki. A jak do szkoły chodziła to się uczyła tylko po francusku. — Najlepiej lubi Zosia niedzielę, bo wtedy z mamusią i z tatusiem idzie do kościoła. A kościół stoi wysoko, wysoko, na górze. Trzeba po schodach iść długo, długo. Zosią idzie, idzie coraz przysiadzie, odpocznie i rozgląda się dokoła. A już najpiękniej przy samym kościele, bo całą wielką Marsylię widać, jak na dłoni. I cieszy się Zosia i śmieje się, że te domy co się jej na dole takie duże zdawały, są teraz takie maleńkie. I wszystkie takie, jakies inne, jak kreseczki, a tyle tego! I

każdej niedzieli patrzy i napatrzeć się nie może i cieszy się zawsze, jakby to wszystko poraz pierwszy widziała. Tylko tej góry i kościoła będzie żałować, bo to najpiękniejsze. A Matka Boska jest tu cudowna. Ale mamusia opowiadała, że Częstochowska jest piękniejsza i o całej Polsce myśli, Polski Królowa, a ta na kościele stoi, na morze patrzy i marynarzami się opiekuje. Zosia zawsze z mamusią na targ chodzi. I lubi się przyglądać całym stosom przeróżnych warzyw i owoców, tylko rybnego targu nie lubi. Rybki są śliczne, ale oprócz rybek jest różnych ślimaków, tyle strasznych, szkaradnych potworków morskich. A kiedy ludzie podchodzą, biorą ślimaki, cytryny, albo czerwonym płynem kropią i żywe zjadają, to na Zosi aż skóra cierpnie, przymyka oczy i ostrzasa się cała. I myślą przenosi się Zosia do Polski, do dziadzi i babci, gdzie będzie chlebek czarny-razowy, miodem pachnący. Jeszcze go nigdy Zosia nie widziała, ale mamusia mówiła, że najlepszy na świecie. I maselko i mleczko świeże od krówki, co się Krasula nazywa. Bardzo się Zosia cieszy, że niedługo to wszystko zobaczy i że będzie miała koleżanki, z którymi, jak z mamusią i tatusiem będzie można mówić po polsku.

Janina Olszewska.



Dzieci polskie w strojach małych artystów



Serce mam wzruszone, serce mam gorące,
 chcę wierszami gadać z światem i z miesiącem.
 Chcę wierszami gadać, wiersze w sercu czuję,
 jeno słowo z słowem źle mi się rymuje.



Myśli, idzie Pyza po polu, po lesie,
 mocno zamysłoną zaszła na Polesie.
 Świeci się, jak klejnot słońca blask na rosie
 Wyszły na porębę dwa olbrzymie łosie.



Łosie, łosie moje! Piękne rogi macie —
 na rogach gałązki lekkie podrzucacie.
 Podrzucicie i Pyzę. Nad wodą Prypeci —
 od łosia do łosia nasza Pyza leci.

Jak Pyza



Z rogu na róg! I hop! hop!
 Pyza się śmieje do wtóru.
 Jak piłka frunie. Na siana snop
 padnie nóżkami do góry!

O tym, jak się św kłócił z dzwonkiem wyn

Pewnej, księżycowej nocy zwołał król świętojańskich robaczek na wielką naradę.

O północy na największej, leśnej polanie miały zebrać się wszystkie świętojańskie robaczki.

Wiadomość o wielkiej naradzie ogromnej wywołała wzburzenie wśród robaczek. Przecież wiadomym było, że zwykłe narady zwoływane były tylko dwa razy do roku: wczesną wiosną i późną jesienią. musiało więc zajść coś doprawdy ważnego, skoro król zwołał wszystkie robaczki w pełni, w samym środku lata.

Na długo przed północą zebrały się robaczki świętojańskie z całego lasu i mrugając latareczkami rozmawiały, z ożywieniem zastanawiając się, co też może być przyczyną niezwyklej narady.

Punktualnie o godzinie dwunastej zjawił się król. Powitał zebranych, skinieniem głowy i poprosiłszy o ciszę, rozpoczął przemówienie.

wędrowała



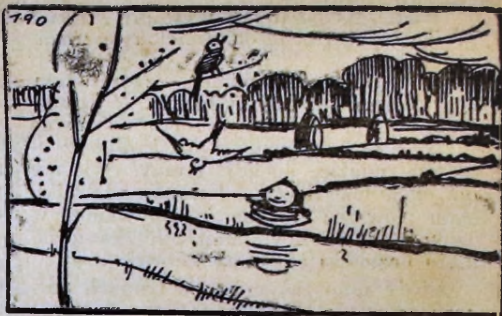
Jak pachnie siano z niskich łąk!
jak miło się tulić do łośia!
plactwo nawodne kołuje w krag —
i ryby w dziobach unosi.

rietajski robaczek leśnym i co z tego nikło

— Kochane robaczki: stała się rzecz, która zmusiła mnie do wezwania was wszystkich dzisiaj, tu przed moje oblicze. Myślałem, że uda się mnie samemu rozsądzić sprawę, o której za chwilę będę mówił. Okazało się jednak, że nieposłuszeństwo i zuchwalstwo jednego z waszych braci jest nie do zwalczania. Nie chciałem sam, bez porozumienia z całym społeczeństwem robaczków, wydać wyroku, który może okazałby się zbyt surowy. Dlatego was wezwałem.

Otóż od pewnego czasu nie ma w lesie spokoju. Prawie co dzień przychodzi do mnie na skargę paź królowej leśnych dzwonek. Skarzy się, że jeden z robaczków imieniem Światelko, nie daje spokoju jednemu z dzwonek leśnych, imieniem Perelka. O co chodzi, chciałbym, abyście dowiedzieli się z ust samego Światelka. Proszę, niech Światelko wystąpi.

(Dokończenie na stronie 6-ej)



Są są, są tutaj rybeńki. Są, są, są srebrniutonieńskie
w wodach wesoło się pluszcza.
Są, są, są w gajach ptaszęta! Są, są, są w krzewach
koźleta,
a pióra świecą się głuszcзом.



Jak zobaczył głuszczec naszą Pyżę w lesie,
sfrunął na ścieżynę przypatruje jej się.
Cóżś taka suta, jak głuszczerowy ogon,
co się tak spod chustki naczupirzasz srogo?
Możesz ty jest z Głuszczów? Możesz ty Głuszczańka?



— Albo z mych krewniaków panna
Cietrzewianka?
— Gdzie zaś, głuszczeru miły: Choć mnie waść
zalicza,
do swojej familii — jestem spod Łowicza! —

Robaczek Świątelko wystąpił z tłumu swych braci, trochę onieśmielony i trochę przerażony.

— Najjaśniejszy panie — zaczął drżącym głosem — i drodzy bracia. Z dzwonkiem leśnym imieniem Perelka od dawna już żyję w niezgodzie. Otóż król wyznaczył mi miejsce nocnej straży, właśnie tuż obok mieszkania dzwonka Perelki. Mam również rozkaz przebywania w dzień w tej okolicy. Mam mieszkanie na liściu poziomki tuż obok Perelki.

Kiedy rano zasypiam po trudach uciegłego czuwania, Perelka zaczyna dzwonić — dzwoni tak głośno i krzykliwe, że ani na chwilę nie mogę zmruczyć oka. I tak przez cały dzień. Gdy proszę ją, aby dzwoniła troszkę delikatniej, impertynencko odpowiada mi, że ja nie daję jej spać w nocy, bo naumyślnie świecę jej w oczy ostrym światłem mojej latarki.

Ośmieliła się nawet dawać mi rady, abym moją latarkę zasłonił czerwonym papierem. Śmiechu warte: latarka świętojańskiego robaczka zasłonięta czerwonym papierem.

I to jest wszystko. Osądź teraz Najjaśniejszy Panie i wy kochani bracia, czy doprawdy jestem winien.

Wysłuchano przemówienia Świątelka w milczeniu. Jeden z doradców królewskich zaproponował, aby sprawę zbadała na miejscu specjalna komisja i aby równocześnie spytano o zdanie królowej dzwonek leśnych.

Król zgodził się na to chętnie.

Następnej nocy przekonano się, że Świątelko rzeczywiście zbyt wysoko świeci w oczy Perelce. A znowu rano okazało się, że dzwonek leśny dzwoni ostro i znacznie za głośno zmęczonemu robaczkowi.

Królowa dzwonek odwiedziła króla robaczek i powiedziała mu, że jest zdania, iż wina sporu leży po obu stronach.

— Zarówno Perelka, jak Świątelko są winni, trzeba więc oboje ich ukarać.

Sąd robaczek wydał wyrok, iż Świątelko będzie miał odebrane światło — zaś sąd dzwonek postanowił odebrać głos Perelce. Aż do momentu, kiedy sami dobrowolnie się nie pogodzą.

Zarówno Perelka, jak i Świątelko bardzo byli zmartwieni. Okropne było życie dzwonka bez głosu, a robaczka świętojańskiego bez światła.

Męczyli się tak oboje dość długo, aż pewnego dnia nie mogli już dłużej wytrzymać.

Pogodzili się i przyrzekli królowi i królowej poprawę. Zwrócono więc Świątelku światło, a Perelce głos. I od tego dnia żyli już w zgodzie.

Pewnego dnia król robaczek wezwał do siebie Świątelkę i powiedział:

— Ciesz mi bardzo, że poprawiłeś się i zrozumiałeś nareszcie, na co jesteś stworzony. Pamiętaj zawsze, że twoja latarka służy do oświetlania drogi zblakłym nocą w lesie istotom, a nie do dokuczania innym, lub do zabawy. Teraz, gdy już to rozumiesz, jesteś prawdziwym robaczkiem świętojańskim.

Tymczasem królowa dzwonek mówiła do Perelki.

— Teraz jestem z ciebie dumna, rozumiałaś rolę leśnego dzwonka, którego obowiązkiem jest w dzień wskazywać dzwoniąc drogę w lesie. Teraz będę już mogła być z ciebie dumna.

I od tego czasu nigdy już nie było kłótni pomiędzy Perelką i Świątelkiem. Przeciwnie — nawet się bardzo zaprzyjaźnili.

Zofia Rontaler

Wielkie przeżycia małego Dżoka

Niedaleko od Warszawy, w miejscowości, która nazywa się Zielonka, mieszka pan, zajmujący się specjalnie hodowaniem piesków.

Właśnie u tego pana, w Zielonce przyszedł na świat Dżok, wraz z dwoma siostrami i jednym braciszkiem.

Pewnego, pogodnego, letniego popołudnia pojechaliśmy do Zielonki, aby zabrać Dżoka do miasta. Od tego dnia Dżok miał się stać naszą własnością.

Był jeszcze bardzo mały. Miał niecałe dwa miesiące. Zauważyliśmy, że jest

najspokojniejszy z całego rodzeństwa i najpoważniejszy. Nie mogliśmy zrozumieć dlaczego wtedy, gdy wszystkie pieski biegały, wesoło machając ogonkiem, Dżok nie brał udziału w ogólnej wesołości, tylko co podbiegł kilka kroków, to przysiadł ze smutnie spuszczoną ślizną mordką. Tajemnica tkwiła w tym, że Dżok nie miał ogona. Podobno już się tak urodził. Dżok należy do rasy wyłów-ponterów, którym się ogonów nie odcina. Przeciwnie ogony są ich wielką ozdobą.

Dżok nie miał ogona, nie miał więc

czym machać — wstydził się tego widocznie przed swoim rodzeństwem i dlatego ciągle siadał, aby ukryć ten fatalny brak.

Gdy przywieźliśmy go do domu, jeszcze przez kilka dni przysiadł na swoim śmieszonym ogonku, nie ogonku. (Bo maleńkiego kawaleczka ogona nie można było nazwać prawdziwym wyżłim ogonem.) Z czasem jednak przestał odczuwać swój brak ogonka.

Zadomowił się u nas bardzo szybko. Rozruszał się ogromnie — biegał i szczekał. Nauczył się sam chodzić po schodach. Troszkę się jeszcze tylko bał obcych ludzi — a odważny stawał się dopiero, ukrywający się pod wannę — stamtąd szczekał i straszyl niewidzialnych wrogów. Tam też był skarbiec ukradzionych rzeczy. Pantofli rannych, gałganów, sznurków i różnych śmieci. Piłeczki specjalnie dla niego przeznaczone, to było znacznie za mało na jego młode, śwędzące ząbki.

I właśnie wszystko zaczęło się od tego gryzienia. Pomimo perswazji i tłumaczeń, klapsów i gniewów, Dżokuś gryzł w dalszym ciągu wszystko.

Pewnego dnia zjadł patyk i kawałek sznurka, no i oczywiście rozchorował się na brzuszek.

Z początku leczylimy go w domu, ale gdy to nic nie pomagało, a piesek w dalszym ciągu miał gorący nos i nie chciał nic jeść — zdecydowaliśmy, że Dżok pójdzie do lekarza.

W poczekalni lekarza, dużo czekało piesków. Smutny to był widok. Jeden jamniczek chory na płuca, który ciągle kaszlał, jeden foxterier chory na oczki, maleńki wilczek, któremu się łapki pokrzywiły. Wesoty był tylko wielki wilk, który wcale nie był chory, a przyszedł tylko do fryzjera, ostrzyć się na lato. To było szalenie śmieszne z tym wielkim wilkiem, bo nasz mały Dżok bardzo się swo-

im starszym kolegą zainteresował. Przyjrzał mu się uważnie, a później zaczął na niego szczekać. Taka mała pchelka, na takiego wielkiego brytana. Ale oczekiwanie na kolejkę do lekarza trwało bardzo długo. Ostatecznie nie można było cały czas szczekać, w dodatku wilk najmniejszej na to nie zwracał uwagi. Dżok uspokoił się i ułożywszy się cicho na moich kolanach, piszczał cichutko, może mu było niedobrze, a może poprostu z nudów.

W końcu przyszła nasza kolejka.

Weszliśmy do gabinetu. Dżoka posadzono na wysokim stole i lekarz zaczął go badać. I wtej chwili zaczęło się wielkie przeżycie malego Dżoka.

Doktor mierzył mu gorączkę, macał go na wszystkie strony, wlewał jakieś lekarstwo do pyszczka, w końcu zrobił zastrzyk. I to chyba było najgorsze. Dżok, gdy zobaczył igłę, narobił krzyku na całe mieszkanie. Aż musiano mu zawiązać pyszczek.

Po tym wszystkim był biedaczek tak bardzo zdenerwowany, że nawet mnie nie dał się wziąć na rękę.

Dopiero jak wyszliśmy na ulicę, zrozumiał widocznie, że to już koniec wielkiego nieszczęścia. Uspokoił się. Wszedł grzecznie do auta i przez całą drogę zachowywał się zupełnie spokojnie.

Do wieczora przeleżał cichutko w swoim koszyku, poplakując z cicha od czasu do czasu. Myślałem, że od tego dnia spoważnieje na dobre. Ale gdzie tam, naza-jutrz, gdy się tylko lepiej poczuł, wyciągnął spod łóżka pantofel służącej i zastałam go, gdy w łazience z zapalem obgryzał pompon.

Widocznie, Dżok zupełnie zapomniał o swoim wielkim przeżyciu.

Jak trochę zmądrzeje, jak będzie już poważnym, dorosłym psem, wtedy wam znowu coś o nim napiszę.

Ukarane samolubstwo

W wielkiej, słonecznej kuchni, tuż koło pieca była mysia nora. Mieszkała w niej rodzina myszek, składająca się z mamusi, tatusia i pięciorga małych myszatek.

Najmłodszy synek Pimpus, był bardzo kochany i pieszczony. Rodzice nie potrafili mu niczego odmówić i dlatego Pimpus był rozkapryszony, niegrzeczny i nieposłuszny.

Pewnego razu poszedł z mamusią na spacer i na wystawie w jednym sklepie

zobaczył śliczne, z czerwonej safianowej skórki buczki.

— Jakie śliczne! Mateczko kup mi je — prosił przymilnym głosikiem, — bardzo cię proszę, kup!

— Nie mogę Pimpusiu, buczki te są niepraktyczne i bardzo drogie. Musiałabym na nie wydać wszystkie pieniądze, a przecież trzeba kupić jeszcze sandaalki twoim siostrzyczkom i braciszkom.

Ja chcęęęęęę... grymasił Pimpus.

— Syneczku — tłumaczyła mamusia. Popatrz, masz takie skromne, polatane ubranko, jakże śmiesznie przy nim będą wyglądać eleganckie buciczki. Czy chcesz żeby się z ciebie śmiano? Jesteśmy biedne myszki i powinnyśmy się ubierać tak, jak nas na to stać.

Ale Pimpusiowi żadne perswazje nie trafiały do łebka. Trząsał małutkimi wąsikami, marszczył nosek, płakał, grymasił.

I znów mamusia ustąpiła swemu pieszczoszce. Zamiast dać mu klapsa — kupiła upragnione trzewiczki. Ale w domu dopiero rozpętała się burza. Wszystkie małe myszki poczęły napierać się u mateczki, że też chcą mieć takie buciczki, że przecież nie są gorsze od Pimpusia, dlaczego tylko on dostał taki piękny prezent i powstał wielki płacz, hałas i pisk. No i mamusia nie mogąc uspokoić rozkrzyczanej gromadki zatkała sobie uszy, a w końcu wyszła do parku.

Skorzystał z tego Pimpus, że nikt go nie pilnuje, ustroił się w buciczki, białą czapeczkę włożył na główkę i jazda na spacer w Aleje!

Idzie sobie, idzie, łapkami wzięły się pod

boki, dumnie się rozgląda i nuci piosenkę la, la, la, la!

A dookoła słychać głosy — patrzcie, patrzcie, co za śliczne buciczki! — Pimpus słucha, kręci ogonkiem i rośnie z radości.

— Któż to ma takie piękne trzewiczki? — zabrzmiał nagle srogi głos strasznego kota — Mruka. — Co? Taka marna, szara mysz ma mieć takie drogie obuwie? Zabiorę je sobie! Włóż, choć na wielki palec!

Poskoczyło kocisko, nastroszyło wąsiska i goni wprost na Pimpusia. A nasz bohater jak nie wrzaśnie, jak nie da susa i w nogi! A kot za nim! piszczy myszka, sapie kot. Gwałtu! Rety! Parę razy już, już łapą dosięgał małej myszki, zdarł czapeczkę, naderwał kawaleczek ogonka, ale Pimpus zdążył skryć się do norki i wskoczył na kolana zatroskanej mamusi.

Oj płakał teraz Pimpus i żałował, że był nieposłuszny. Ogonek go bolał, trzewiczki podarły się w strzępy i wstyd mu było, że tak za samolubstwo został ukarany.

Tak to bywa, gdy dzieci nie słuchają starszych.

Zofia Starzyńska

